



Manifest powszechnej miłości.

(Walt Whitman).

Artykuł poniższy jest skrótem referatu, wygłoszonego na zebraniu Kola im. J. Kochanowskiego. Nie rości on sobie bynajmniej pretensji do studjum literackiego i jest jedynie szkicem informacyjnym o twórczości genialnego a tak mało znanego w Polsce poety.

«Odetchnąć tylko — to odetchnąć Bogiem».

Norwid.

1.



okrajały ziemię rowy, zryły ją poćiski, zmoczyła gorąca krew bohaterskich żołnierzy, a nieustające grzmoty armatnie brzmia wspaniałym i strasznym echem, huczą groźnie i znacząco, jakby powiedzieć chciały: „Czuwajcie! Dzieją się wielkie rzeczy!”

I czeka ludzkość z oddechem zapartym na plony, które wyda pokrajana, zryta, zroszona krwią ziemia, czeka i wierzy, nieplonnie chyba, że po okrutnym dopuszcie grozy, tryśnie znów cudowny strumień życia. Mówię: znów... Bo teraz, w zawierusze krwi, ognia i żelaza, w burzy, trwającej już rok czwarty, zamarło wszystko w oczekiwaniu. Ludzkość czeka, aż się zagadka dziejowa wywikła z własnej sieci, i fale żywego życia, wstrzymane przez tamy historii, cisną się potężnie, z rozmachem, naprzód — w nową przyszłość.

Przesuną się granice państw, zmienią stosunki prawne i gospodarcze, zginą utarte zasady, powstaną nowe, aby po pewnym czasie innym znów miejsca ustąpić, przeistoczą się poglądy na tę lub inną dziedzinę życia społecznego lub politycznego, — lecz nie zmieni się wszak, nie zginie, nie zmaleje, ani się nie powiększy, odwieczna treść i istota bytu. Niewzruszona jest i trwała, jedyna i wykluczająca wszelką inną, głęboka i tajemnicza. Zmaga-

nia się pokrwawionych milionów nie wzruszą jej: szalejąca pożoga wojny jest dla niej nikłą skierką, „iskrą tylko, jedną chwilką“, a troski i zgryzoty doczesne są wobec niej tym, czym pyłek wobec Himalajów.

Niezmienne i natarczywie, bez względu na najstraszliwsze kataklizmy dziejowe, wy-
tęzać się będzie myśl człowieka ku istocie bytu. Wiecznie brzmieć będzie pytanie: co to
wszystko znaczy? Skąd idę i dokąd? I poco? Utworzyły się tedy olbrzymie pokłady my-
ślowe, historia filozofji stała się jakby paleontologią myślenia. Za potężnymi zwiastunami
pociągnęły rzesze wyznawców, wielcy nauczyciele wydali wielkich uczniów, hodujących pie-
czołowicie myśl Bożą w sobie i dociekających prawdy coraz głębiej i coraz niecierpliwiej.
Tysiące Kolumbów strawiło życie w podróży odkrywczej do Nowego Świata w sferze ducha,
skrywającego tajemnicę wszystkich tajemnic. Dróg ku niemu jest ilość nieskończona, lecz
śród tych dróg jedna najpiękniejsza, słoneczna i złota droga: niezawodna, choć zwodnicza,
ciemnista — bo różami usłana, długa — bo w nieskończoność biegnąca, — Droga Poezji, tej
wiecznej, nieprzemijającej, jedynej prawdy, jedynej oczywistości i wiedzy.

Jest ona „światopoglądem“, specjalnym a tak cudownym ujęciem Wszystkiego, jest
metodą poznawczą i samym poznaniem, środkiem i celem, krzesiwem i ogniem... Goniwa
wieków stwarza dla poezji nowe formy, lecz jądro jej pozostaje zawsze jednakowe. Słowa-
cki, Beethoven czy Leonardo, św. Franciszek, Goethe czy Mickiewicz, Platon, Szekspir czy
Dostojewski, — ci wszyscy popychacze świata naprzód zapatrzeni są w jeden punkt, szukają
tego samego, choć każdy przemawia inaczej: zmienia się oblicze wieków, a przeto zmienia-
ją się i formy, w których się prawda wieczysta poetów uzewnętrznia.

Szukamy głosów nowych; szukamy olbrzymich zwierciadeł, potężnych soczewek, któ-
reby zogniskowały w sobie jaknajwięcej promieni bytu, któreby cisnęły jaknajdalsze perspe-
ktywy, objęły jaknajszersze widnokreśli, wchłonęły w siebie wszystko — wzdłuż, wszerek,
wgląd, wzwyż, — i ukazały spragnionym oczom naszym jaknajwięcej! A zwłaszcza teraz,
kiedy po niesłychanej burzy dziejowej, której świadkami jesteśmy, runie tysiąc starych olta-
rzy, a z gruzów tysiąc nowych powstanie! Teraz, gdy ludzkość wstąpi w nową epokę i ma-
gistra vitae, poezja, pozbędzie się wszystkiego, co było deklamacją, pięknością, karmelkiem
dla rozpoetyzowanych panien, wybujałym indywidualizmem i kanonem estetycznym! Kiedy
przestanie być dekoracją i przyjemnością, na którą można sobie w święto pozwolić, przesta-
nie być wirtuozostwem i przywilejem niepowołanych rozwichrzeńców, samozwańczych „poe-
tów“, wygłaszających po kawiarniach europejskich emfatyczne tyrady o „wyższych dziesięciu
tysiącach“, — a stanie się uniwersalna i kosmiczna, duchowa i cielesna, religijna i naukowa
(z zastrzeżeniem, które niżej), współczesna i demokratyczna, ucząca pochwały życia i śmierci.

I oto w połowie ubiegłego stulecia rozległa się taka imponująca pieśń jednego z naj-
genialniejszych twórców świata, pieśń, która jest, powinna być, kamieniem węgielnym duszy
współczesnej i jej przyszłości.

2.

Szczytem twórczości — sztuki — poezji — filozofji (nazwijmy to, jak chcemy) jest
zawsze uczucie religijne: świadomość istnienia czegoś wielkiego, mistycznego, świadomość
wszechobecności Bożej, uniwersalnej idei, przenikającej życie fizyczne, moralne i duchowe
ludzkości. Religja, naprzekór wszystkim mędrkom, chytrym nauczycielom, eleganckim scepty-
kom i zblazowanym estetykom naszej współczesności, jest Musem, jest czynnikiem taksamo
niezbędnym w życiu ludzkości, jak woda, ogień i powietrze. Nie mówię tu oczywiście o re-
ligii dogmatycznej, katechizmowej, nakazującej wierzyć i spełniać pewne obrzędy. Dusza

strzeże swej odrębności indywidualnej — i tylko przy zachowaniu zupełnej swobody wewnętrznej może istnieć w niej duch religijny, misterjum odwiecznego zagadnienia: skąd i dokąd? Człowiek winien stać się sam własnym swym kapłanem i ojcem teologiem, czuwając bacznie nad nietykalnością sumienia, nie zgadzając się na kompromisy w Sprawie Bożej lub półuczucia. Mam więc na myśli nie narzuconą przez państwo lub kaznodzieję religję, lecz spontanicznie wypływającą z głębi duszy Ideję o sobie, świecie i wiekuistej prawdzie Bożej; mam na myśli religję odczuwania bytu, polegającą nie na buncie, kwietyzmie lub pokorze, lecz na jednej choćby chwili zadumy: jestem, istnieję, żyję...

A kiedy myśl ta dotrze do głębi duszy, kiedy, abstrahowana od wszystkich innych, zapłodni ją, — dusza radośnie wchłaniać zaczyna życie, zaczyna być duszą religijną, czyli szczęśliwą.

I tu się rodzi Miłość.

3.

Miłość powszechna, wszechmiłość, przechodząca w chrystjanizm kosmiczny — oto źródło, z którego trysnął olśniewający strumień twórczości Whitman'a. Ujściem jego jest ocean bytu, wszystko, co istnieje, a popierwsze — demokracja.

Wspaniałym rozmachem żywiołowej fantazji, nadludzką wprost ekstazą, uczynił on z demokracji siłę zwycięską; zrozumiał, że ta potęga świata posiada ukryty gdzieś patos religijny. Odkrył go — i proklamował się na najwyższego kapłana. Tę demokrację Whitman'a należy zrozumieć. Niema ona nic wspólnego z mityngami, partjami i strejkami. Nie. „Jest to wielka, święta armja, krocząca bez Napoleonów od zwycięstwa do zwycięstwa.“ (Czukowski). Ta armja olbrzymia — to my, jej szeregowcy, z domów, ulic, rynków, teatrów, uniwersytetów, restauracji, banków i wszystkich frontów świata. Warstwy społeczne, kasty, narody i rasy stają się jednym demosem, jednym kolosalnym cielskiem, rzuconym na kontynenty. To cielsko natchnął bard amerykański duchem, dał mu religję i powiedział: jesteś Bogiem! To nie socjalizm, nie społeczeństwo, lecz żywioł wszechmiłości! Tłum, masa, wzgardzona i spolewierana przez t. zw. „arystokratów ducha“, epigonów spaczonyj idei nietzsche'ańskiej, — to potęga, godna holdów i uwielbienia, to niespożyta siła współczesności, to ci, którzy w chwili obecnej strzaskani, pomiażdżeni, poszarpani, z krwi własnej i męki tworzą historję! To ci, którzy świat zabudowali, ziemię pługami zryli, w fabrykach i warsztatach struli sobie płuca, w biurach i kancelaryjach pędzą dni monotonne, to tłum, szary tłum przeciętnych ludzi, tak skwapliwie odgradzany od siebie przez wielu chińskim murem swej wyższości, inteligencji, subtelności i niebotycznych aspiracji! Kobiety i mężczyźni (nie panie i panowie!), demos całego globu, święta armja pracowników: uczonych czy szewców, dziennikarzy czy stolarzy, profesorów czy woźniców, — to my, wszyscy potrzebni, wszyscy konieczni, w każdym duch żywie, każdy ma do życia, Boga i chwały jednakowe prawa!

Demokracja — to pierwsze słowo Whitman'a. A drugie — to Nauka. Nauka i Demokracja: dwie nieuniknione drogi, po których musi kroczyć przyszła ludzkość. Nie ten jest poetą nauki, kto pisze sonety o ultra-fioletowych promieniach, lub stacje o tlenie, wodorze, i tramwajach (porówn. futurystów), lecz ten, kto przepoił istotę swą naukowym zrozumieniem, naukowym odczuciem świata, które niepostrzeżenie coraz bardziej ogarnia duszę współczesną i zmusza ją, aby każdym nerwem, każdą kroplą krwi odczuła nową moc emocjonalną, nowe źródło tajemniczego jeszcze liryzmu. Poezja jest wtedy najwyższym aktem myślowym, gdzie wola, uczucie i rozsądek łączą się organicznie w niepodzielną całość; poezja staje się tęczą przymierza pomiędzy nauką i religją.

Te dwa hasła naszej epoki są podłożem, na którym Whitman wybudował wzniosły gmach swego światopoglądu.

Bóg, nieśmiertelność, tożsamość ciała i duszy, patos istnienia, entuzjazm kosmiczny i poczucie gromady demokratycznej — oto jej pierwiastki zasadnicze. Nie jest to jednak poezja dźwięcznych słówek, ani filozofja terminów, abstrakcji, rozmaitych „izmów“, „azmów“ itp. Whitman przemówił zwykłą, potoczną mową o zwykłych codziennych sprawach. Lecz ta potoczność, ujęta w cudowny rytm dytyrambiczny, niesforny często, więcej nam mówi, niż eleganckie strofy niejednego z rozestetyzowanych poezjantów. W dziele jego, zatytułowanym skromnie „Żdźbła trawy“, Słowo po raz drugi stało się ciałem, czynem, oczywistością.

4.

Jeżeli mowa o stosunku t. zw. „świata“ do poezji, to w samo sedno sprawy trafił Heine, mówiąc: „Diese Welt glaubt nicht an Flammen, und sie nimmt's für Poesie“. Większość ludzi nie wierzy rzeczywiście w Płomienie, w żywy ogień, w to, co jest naocznym dowodem piękna i Boga na świecie; nie wierzy i nazywa to poezją, która jest pono powszedniości wrogiem śmiertelnym, powinna jej unikać i stać się, *sit venia verbo*, aeroplanem, unoszącym nas ponad tak zwaną „szarość i nudę“ życia codziennego w regjony marzeń, fantazji, snów, zapomnień i wszelkiego rodzaju oszołomych alkoholów ducha. Czyni się więc w pogoni za pięknem wyprawy do muzeum, na koncerty, do teatrów, aby przez kilka godzin choćby, nasycić się atmosferą wzniosłej sztuki, zanim się znów powróci do tej nieznośnej, szarej, przytłaczającej... „prozy“.

Aż nagle rozległ się jakiś głos proroczy, uderzył ktoś tryumfalnie w radosny dzwon zachwytu, przejrzał, dostrzegł i krzyknął, żeśmy ślepcy! Zdarł nam zasłonę z oczu, zaczął nas oprowadzać po świecie, pokazał nam nas samych przy żmudnej pracy codziennej i błahych kłopotach, pokazał ludzi, zwierzęta, rośliny, kamienie, rzeki, lasy, domy, ulice, ba! meble nawet, wszystko do najdrobniejszych szczegółów i zdarzeń, — i zachłysnął się wprost radością, powtarzając co chwila: spójrzcie — to wszystko cuda, to mądrość, szczęście, objawienie i Bóg!

Ten głos proroczy — to pieśń Whitman'a. Chaos współczesnego życia objął on myślą o Wszechjedni. Gigantycznym entuzjazmem pochwalił wszystko, stworzył demokratyczną rzeczpospolitą całokształtu istnienia, gdzie rządzi jedno wszechuczucie: Miłość.

Nie zapominał on ani na chwilę, że dokoła wirują miliony światów. Spojrzenie wstecz było dlań spojrzeniem w miliony wieków ubiegłych, spojrzenie w przyszłość — nieskończonością. W każdej kropli wody widział oceany, w każdej sekundzie — wieczność. Tak *jest* przecież: jeno nie myśli się o tym. Nauka obdarzyła człowieka nowym kosmosem — i oto pierwszy wielki jego piewca (Czukowski). Teleskop porwał myśl ludzką w ogrom gwiazdnej zawieruchy na niebie sierpniowym, w kołowrót słońc i konstelacji, w niezmierzone dale miljonów kilometrów, w okresy, gdzie tysiącwiecza są chwilą. Mikroskop ukazał oczom człowieka taką nieskończoność podzielności materji, taki bezkres światów w najdrobniejszym pyłku, że trzeba było stanąć, umówić się bez żadnych ceremonji, że istnieje ostatecznie granica, atom, coś niepodzielnego już, gdyż inaczej uczeni nie daliby sobie rady.

Astronomja, biologja, chemja i fizyka roztoczyły tyle dziwów i cudów, że dusza współczesna coraz bardziej przejmuję się nauką. Nauka zaś może być dla duszy drogą ku prawdziwej wiedzy, taksamo jak Sztuka. *Drogą*, powtarzam, nigdy celem ostatecznym i samą wiedzą. Dla nauki najmniejszy lasecznik *taksamo* uczestniczy w życiu wszechświata, jak mózg Szekspira. Piłka dziewczynki biegnie podług *tych samych* praw, co najodleglejsza

gwiazda. Kto więc, jak Whitman, obejmie myślą całość bytu, głęboko zrozumie mistycyzm aktu życia we wszystkich szczegółach, objawach i możliwościach; kto, mając jak on wiecznie wyteżone oczy ku przenikającej wszystko idei Bóstwa, zastanowi się nad tą Wielką Sprawą,— ten go zrozumie.

I ten zrozumie, że sprawdzianem i miarą rzeczy nie może być kanon, dogmat i rutyna, lecz dusza własna, dusza doskonaląca się, wyzwolona i wyzwalająca.

5.

Niema nic lepszego ani gorszego, żadnych hierarchji, żadnych kategorii — oto pierwsze słowo poety. Wszystkie czyny, rzeczy i uczucia są jednakowo ważne, piękne i potrzebne. Drobny kwiatek nie jest mniejszy od dróg międzyplanetarnych, krowa, pasąca się na łące, jest nie mniej piękna od Venus z Milo; ujrzeć strączek grochu — mędrsze to i godniejsze zastanowienia, niż stopy ksiąg; ciało nie jest gorsze od duszy, a dusza od ciała; ropucha jest arcydziełem, i nie oddano jej jeszcze dotychczas należnego hołdu. Wszystko jest boskie, piękne i święte. Wszystko — albo nic. Prawicie o jakichś cudach, mówi poeta. Wszak każda chwila dnia i nocy jest cudem; każdy cal sześcienny przestrzeni, każdy kawałek powierzchni, każda odrobina materji. I cudem jest to, że chodzę, że widzę, mówię, jestem rozumiany, mogę wykonywać ruchy, czuję smak potrawy — wszystko, wszystko! Sam fakt istnienia czegośkolwiek, wzrostu, ruchu, trwania, bytu, jest dla Whitman'a [szczęściem upojnym. W każdej rzeczy czekają tysiące prawd i rozwiązanie wszelkich zagadnień. Wszędzie i zawsze, we wszystkich zjawiskach, poczynając od najogromniejszych i kończąc na najmniejszych, widzi on moc odwieczną, mus kierowniczego ducha Twórcy. Wierzy on w rzeczywistość, w to, co jest; „uderza w nim to poczucie siły, że dwa razy dwa jest cztery: jeżeli ktokolwiek zauważy, że na księżycu dwa razy dwa równać się może pięciu, to cieszy się, że się na księżyc, dzięki Bogu, nie dostał“ (Patkowski o Chesterton'ie); usprawiedliwia świat we wszystkich objawach, potysiącokrotnie powtarza: wszystko jest w porządku, wszystko urządzone dobrze i mądrze. Chwali śmierć taksamo jak życie, bo nic nie ginie. Wrosła weń głęboka wiara w najcudowniejszą niezniszczalność materji i ducha. „Nie zginął młodzieniec, co umarł i został pochowany, głosi Whitman; ani młoda kobieta, którą pogrzebano przy nim, ani dziecko, co zajrzało przez uchylone drzwi i skryło się i nigdy już nie powróci; ani starzec, co żył bez celu i z goryczą w sercu; ani nędzarz i pijak, stoczony przez wódkę i złą chorobę, ani niezliczone mnóstwo nieszczęśliwych bezimienców i wyrzutek, nic, nic nie zginęło jeszcze w mirjadach mirjadów sfer.“

Uduchowił on materję i gotów jest szaleć z radości i zachwytu, przyglądając się kawałkowi skóry na ręce, i „odetchnąć tylko — to odetchnąć Bogiem“, jak mówi Norwid, a najcieńsza żyłka w ciele może wykpić wszystkie maszyny.

Kocha upał — za to, że grzeje; kocha mróz — za to, że ziębi; wodę — że jest mokra, piasek — że suchy. Sławi rozkosz i cierpienie, szczęście i nieszczęście, zwycięstwo i klęskę, dobro i zło, wszystkiemu śpiewa psalmy uwielbienia; co się staje — to musiało się widocznie stać, gdyż w przeciwnym razie, czyżby się stało? Czy sądzicie, pyta, że prawa wszechświata są złe, niedostateczne, i że trzeba je oddać do naprawy? Zapewnia, że gotów jest polewać wszystko, co rośnie, śpiewa hymn niesłychany, hymn, jakiego ludzkość dotychczas nie знаła: pieśń o powszechnej miłości i entuzjazmie kosmicznym.

Popierwsze zaś sławi siebie.

„Ja, Whitman, kosmos, syn manhatańczyka, bujny, dorodny, zmysłowy, piję, nasycam się, rodzę, sławię samego siebie“.

I jak krew purpurowa z tętnicy, bucha gorący, cudowny poemat, strumieniem bije śpiew zachwytny o młodych, silnych, zdrowych ciałach, czujących rozkosz rozprężenia napęczniałych, twardych mięśni; śpiew o własnym ciele z dumną, pulsującą gwałtownie krwią w żyłach; o żelaznoudych, barczystych, muskularnych ojcach, o jędrnych, pięknych, płodnych matkach.

Jak soki żywotne drzew, tryskają rozrzutne pieśni o boskiej fizjologii, czyste, święte, radosne pieśni o najwznioślejszych aktach życia, o tajemnicy, z której niechlujna współczesność nasza zrobiła nieprzyzwoity sekret! Jakże porywające i nieskalane są te tryumfalne pieśni phalliczne i dytyramby cielesne! Zda się, że Pan, leśny bożek szalonej wiosny, wybiegł z zarośli i rzucił się na jasną polanę w skwar, w białe ognisko słoneczne, i krzyczy radośnie: Jestem! Żyję! O, szczęście, szczęście! Zda się, że rosły, jak dąb, praaryjczyk, któremu już własnej siły za dużo i nie wie, co z nią począć, wyciągnął się na glebie wiosennej i wyczuwa dłonią okrągłość ziemi, a za chwilę wyteży ścięgna i ciśnie nią w dyskobolu.

Patos! Rozmach! Przepych! Rozkwit! Ekstaza! Siła fizyczna i zdrowie, ciało, mięso, krążenie krwi, czerstwość, krzepkość, ciężyzna, nienasytny głód, popęd, wola, chuć życia — wszystko to wre w nim, musuje, rozsadza mu serce zachwytem — i gdyby pękło to serce z nadmiaru radości, to pękłoby z hukiem.

„Jestem bóstwem nazewnątrz i nawewnątrz — mówi poeta — spojrzę do lustra i widzę Boga, cuda tworzę na każdym kroku, nie jestem wrogiem objawień i pisma świętego: najcieńszy włos jest objawieniem i pismem świętym, wiara moja jest największą i jednocześnie najmniejszą wiarą; dotknę czegośkolwiek, poruszę się — i już jestem szczęśliwy; nie mieszczę się pomiędzy kapeluszem i obcasami, jestem wszędzie, we wszystkim, i wszystko jest mną i we mnie!“

To uczucie wszechobecności doprowadza go do halucynacji i transu; każde zdarzenie, każdy przedmiot, zyskują w duszy jego sens i rację bytu; krzycząc w bakchicznym upojeniu, że Bóg — to on i gwiazdy — to on, widzi wszędzie swych sobowtórów, świat cały staje się jakoby dalszym ciągiem jego samego, i gromadzi, gromadzi bez końca na stronicach swego dzieła chaotyczne masy, piramidy, rejestry wszystkiego, co ujrzy, co przypomni sobie, i na wszystko mówi: to ja.

Wierzy w natchnionym entuzjazmie, że wystarczy tylko nazwać jakiś przedmiot bez żadnych upiększeń, bez estetycznych polewek i lakierów w postaci rymu, określonego rytmu lub przenośni, aby powstała poezja, religja, wiedza ducha.

Zaczyna więc wyliczać:

„Czyste kontralto śpiewa w chórze kościelnym,
 Obląkanego odwożą nareszcie do zakładu,
 Mocno przywiązano kalekę do stołu chirurga, odcięte członki z strasz-
 nym pluskiem padają do wiadra,
 Maszynista zakasał rękawy, policjant obchodzi swój rewir, oddźwierny
 patrzy, kto idzie,
 Chłopiec jedzie tramwajem (kocham go, chociaż go nie znam),
 Muzyka gra, przywołuje do tańca, panowie kłaniają się paniom,
 Ołówek reportera szybko zapisuje coś w notesie,
 Na rynku przechadzają się trzy matrony,
 Idzie jesień za latem, rolnik sieje, ozimina sypie się na ziemię,
 Miasto śpi, wieś śpi,
 Żywi śpią, ile trzeba, i martwi, ile trzeba,
 I wszyscy oni są mną, i ja jestem nimi,
 I z nich wszystkich i z samego siebie tkam tę pieśń o sobie.

Wiem, nic łatwiejszego nad zdobycie się na uśmiech ironiczny w tym miejscu. „Przecież takie wiersze każdy wstępniak potrafi pisać!“ Lecz te „katalogi“, jak je ktoś dowcipnie nazwał, nie są schematem, lecz szczerym uczuciem poety. Wyliczałby tak bez końca: opowiedziałby o całym życiu obłąkanego, i o tym, jak kalece przytrafiło się nieszczęście, i co maszynista myśli, i o dzieciach policjanta, i o tym, co reporter zapisuje, — wszystko, bo to dla niego życie, „życie, wieczne ogromne kola zdarzeń, czynów, trafów, okoliczności i szczegółów, które w sumie dają obraz bytu“.

Wszystko przecież, według Marka Aureliusza, jest przyczyną wszystkiego, co się dzieje. Czy zaś są to heroiczne wysiłki bohaterów i genjuszów, czy też błąhe, powszednie sprawy, to nie stanowi różnicy. Whitman widzi wszędzie życie, ruch, cegiełki potężnego gmachu istnienia.

„Tat twam asi“ — ja jestem tobą—według formuły filozoficznej Wed staroindyjskich — dochodzi tu do apogeum. „Jestem starcem i młodzieńcem, głupcem i mędrcom, wyznawcą wszelkiej religii, synem każdej rasy, fermerem, rzemieślnikiem, artystą, marynarzem, doktorem, kaznodzieją.“

Whitman wylicza całe tuziny zawodów, wędruje przez historję ludów, geografję całej ziemi, i kończy zawsze tym samym: wszystko to przyjmuję, przy wszystkim jestem, wszystko czuję i rozumiem...

„Teraz, w tej chwili, gdy siedzę pełen zadumy,
Zdaje mi się, że wielu innych ludzi w obcych krajach,
Taksamo duma... i patrzę na nich i widzę ich wszędzie:
We Francji, we Włoszech, w Niemczech,
W Hiszpanji, Chinach i Rosji,
Mowa ich inna, niż moja, lecz gdybym spotkał się z nimi,
Wiem, że przywiązałbym się do nich,
Wiem, że byłibyśmy braćmi i przyjaciółmi,
I że zaznałbym przy nich wiele szczęścia...“

W poszukiwaniu klucza do zagadki wszechświata, człowieka i przyszłości, widzi on wszędzie tożsamość, identyczność, podobieństwo, w czasie, przestrzeni, świecie i na innych planetach, w duszach, naturze, narodach, społeczeństwach, — widzi jednię, łącznię ostateczną.

I tu zaczyna się nienasycona miłość dla demokracji, ukochanie ludzkości i człowieka, bezgraniczne uczucie, które żywi bard amerykański dla świętej armji demokratycznej całego globu.

„Dla ciebie, Demokracjo!—śpiewa Whitman—dla ciebie, Oblubienico, Żono moja umiłowana — wszystko!“

Miljony ludzi wprawiają go w szal dionizyjski. Niema dlań większego szczęścia, jak cisnąć się w ten ocean ludzkości, utonąć w nim, ogarnąć kochającą duszą w imię demokracji, w imię równości powszechnej.

Przeczuwa wiosnę ludów, nową erę; widzi imponujące sceny na teatrum mundi, groźne fale nadciągającej ze wszech stron mocy, widzi narody, szykujące się do pochodu zaborczego, kolonizujące archipelagi, porozumiewające się ze sobą przez oceany za pomocą kabłów, gazet, transatlantyków, opasujące kulę ziemską siecią stalowych nitek; przeczuwa jakąś boską wojnę, może obecną; czuje impet, gorączkowość, tytaniczne przygotowania ludów do stworzenia kolosalnej demokracji!

Więc rzuca pieśń — „Salut au monde!“—Pozdrowienie świata.

I widzi niezliczone ogniwa bytu — i w każdym znajduje odpowiedź na wszystko, niecofnioną konieczność istnienia każdego; ma przed oczyma rozległą panoramę — oto się toczy wielki, okrągły cud, — serce jego rozszerza się; widzi miasta, wsie, ruiny, cmentarze,

więzienia, fabryki, namioty koczowników, miliony domów i mieszkań, napelnionych ludźmi. Widzi góry i wylicza je wszystkie: Sierry, Andy, Himalaje, Tiań-Szań, Kazbek, Balkany, Karpaty, Pireneje, dziesiątki innych, potym oceany, morza, rzeki, pustynie, stepy,—stronice pstrzą się od egzotycznych nazw; widzi marynarzy, wędrujących bez końca, jedni płyną przez Zuider-See, tamci przez Gibraltar, a ci przez Sund, Bramaputę, Kambodzę, i znów mnóstwo nazw geograficznych, przylądki, przesmyki, wyspy, porty,—jedni zawijają do Liverpoolu, inni do Neapolu, do Bordeaux, do Valparaiso; a potym roją mu się telegrafy, koleje żelazne, węzły komunikacji, stacje, miasta, sypie barwną terminologią, jak z rogu obfitości: Stockholm, Irkuck, Warszawa, Madryt, Petersburg,—skacze z Europy do innych części świata, i znów Bena-res, Kanton, Kalkutta, Timbuktu, Buchara, wszędzie jest, wszędzie czuje obecność swoją, zwraca się do narodów i plemion: ty, greku, szwedzie, bułgarze, saksończyku, francuzie, hunnie, czechu, tatarze — pozdrawiam Cię — ach, nie nadaży nikt za nim, gdy zacznie prawić o jakichś Okoni, Ottawa, Iszakaczuci, Segina i Iszipewa, Bóg raczy wiedzieć, o jakich dzikusach afrykańskich, ludożercach i zbójach, i wszystkim, każdemu bez wyjątku, śle pozdrowienie, krzycząc po łacinie, po włosku: omnes, omnes, tutti, bo już mu własna mowa nie wystarcza dla gorejącej w nim lawy powszechnej miłości.

Wrzawa życia dochodzi do uszu poety:

„Słyszę śpiew robotnika, słyszę krzyki australijczyków, słyszę płasy hiszpańskie, biją kastaniety, brzmia skrzypce i gitara, słyszę okrutne pieśni, pieśni francuskiej wolności, słyszę szum szarańczy na nizinach syryjskich, słyszę okrzyk z wysokiej wieży meczetu, okrzyk muezzina arabskiego, słyszę, jak żydzi czytają monotonna talmud, a grecy skandują rytmicznie.“

Rzuca się myślą wstecz, w historję, pozdrawia ludy zamierzchłych cywilizacji, Indusów, Persów, Egipcjan, Asyryjczyków, wszystkich wodzów, braminów, lamów, druidów, kapłanów i apostołów, różne religie, wiary i sekty, pozdrawia przyszłość i wszystkich tych, kogo nie wymienił, — jednym słowem, musiałbym ułożyć dokładny spis mieszkańców ziemi od Adama, gdybym chciał wyliczyć wszystkich pozdrawianych przezeń ludzi.

Lecz czy ten piewca tłumu i gromady, gdzie wszyscy są równi sobie, widzi i odczuwa oddzielną duszę ludzką? Czy nie zatracił poczucia istnienia odrębnej, indywidualnej jednostki? Ujmuje wszystkich i wszystko zbiorowo, obdarza równouprawnieniem masę, przeciętność. Czy w tych legionach dostrzega poeta oddzielnego człowieka? „Sławię każdego, wszelkiego“, powtarza wciąż Whitman; toć zwraca się on do *byłe kogo*, do pierwszego lepszego przechodnia: „słuchaj, ty pierwszy lepszy człowieku, jeżeli spotkamy się na ulicy, dlaczego nie masz podejść do mnie i porozmawiać? Dlaczego ja nie mam podejść do Ciebie?“

Mamy prawo przypuszczać, że poeta nie spojrzy nawet na swego interlokutora, bo i pocóż patrzeć, jeżeli wszyscy są jednakowi? Kobieta jest popierwsze matką-rodzicielką, mężczyzna — protoplastą przyszłych nieskończonych pokoleń. Whitman nie zwróciłby więc uwagi ani na nos Cyrana de Bergerac, ani na usta Liny Cavalieri, a przy spotkaniu z Maeterlinckiem doznałby tego samego uczucia, co przy pijaczynie i urwipołciu z pod ciemnej gwiazdy? Jeżeli między Szekspirem a kretynem, analfabetą a Płatonem niema żadnej różnicy, to niema żadnego z nich, zostają tylko tłumy, straszna, przytłaczająca algebra, bezmyślna statystyka? Zdawałoby się mogło, że najdroższe dla każdego z nas własne „ja“ nie istnieje dla Whitman'a, jako odrębność. O, cudowny przeciętny człowieku! O, zachwycająca banalności i szablonie!—wola poeta wprost wyzywająco, tymbardziej że *siebie* ukoronował, ba, nim bemboskości nawet otoczył, i w tym podeptaniu jednostki dałoby się dostrzec bankructwo poezji demokratycznej,

Lecz to złudzenie. Poezja demokracji jest właśnie poezją jednostki, obdarzonej przez Whitman'a wielkim duchem i mocą. „I tyś ze mną na tronie, kimkolwiek jesteś“, oświadcza

piewca wszechrówności. „Spójrz do lustra — i także zobaczysz Boga. Żaden człowiek nie uświadomił sobie jeszcze tego, jak święty jest! O jednym śpiewam! O zwykłej, oddzielnej osobie! O, wszyscy i każdy! dostąpcie miłości mojej! Oto ucztą dla wszystkich! To, co ja odczuwam — odczuwasz i ty! W przeciwnym razie nie trać czasu na słuchanie mnie! Każdemu należą się ody, psalmy i hymny! „Niezmierny jesteś, bezbrzeżny, obwieszcza poeta każdemu, choćby to był półgłówek, zbrodniarz lub oszust. Piewca milionowej szarej masy widzi Boga w każdym człowieku — i oto tryumf demokracji! Ubóstwiła ona człowieka, każdy stał się Jedynym, pojęcie „ja“ zostało opromienione aureolą świętości — Szekspir tak samo jak analfabeta, gdyż poeta czuje tożsamość w mistycznym ujęciu rdzenia ich bytu. Widzi, że pod powłoką zdradliwych pozorów, w *najgłębszej głębi swej istoty*, dusze ich są równe, jednakowo nieśmiertelne, piękne i święte. Zrzućmy z nich nawarstwienia, spójrzmy nowymi oczyma, bez szkieł tradycji i przesądów, a przekonamy się, że genialność geniusza i przeciętność szarego przechodnia — to nie istota ich, lecz maska. Rzeczywista indywidualność zaczyna się tam, gdzie kończą się cechy indywidualne, — i przez te pstre, uludne pokrycia dostrzega poeta w każdym jedną, ogólną duszę duszy. (Czukowski).

Ktokolwiek jesteś—mówi—boję się, że krocysz drogą marzeń sennych,
I boję się, że to, o czym jesteś tak święcie przekonany,
Zachwieje się pod tobą, roztopi jak lód,
Wygląd twój, dom, słowa, czyny, troski, radości i szaleństwa,
Wszystko to opadnie z Ciebie — i ujrzę prawdziwe ciało twe, prawdziwą duszę,
Stoisz przedemną uniezależniony od swej pracy, od kłopotów, zdolności,
fachu, mieszkania,
Odrzucam szatę twą, wstrętą pozę, pijaństwo, chuć, wczesną śmierć,
TAM, W GŁĘBI, UKRYWASZ SIĘ TY, RZECZYWISTY,
Widzę Cię tam, gdzie nikt Cię dostrzec nie potrafi.

Był ongi filozof, który z latarką szukał człowieka. Whitman zaś widzi w każdym człowieku płomień święty, bowiem dotarł do najgłębszej głębi ducha, „gdzie doczesność nie trafia, przeciwność nie trwoży“, a cnota i grzech, piękno i brzydota, dobro i zło, są błahostkami wobec majestatu samej istoty bytu. A poprowadziła go tam miłość, taka miłość, dla której mowa ludzka słów już znaleźć nie potrafi; miłość, cuda czyniąca, zwycięska, powszechna, jedyna, docierająca wszędy... Przebacza się nią grzechy, miłuje nieprzyjaciół swoich, cierpi się dla niej, znosi wstyd i upokorzenie — dla niej jedynej. Tylko *kochać* można wszystko i wszystkich, nienawidzić — niepodobna! Tylko *miłością* duszy ogarnąć można wszechświat cały i tak go pokochać, jak kobietę wybraną i umiowaną! To miłość nieuzasadniona niczym — a przeto święta i potężna, gdyż kochać prawdziwie — to kochać bez przyczyny.

Niewiele już powiem. Przyznam się z dumą, że mi brak słów. Whitman nie jest dla mnie pisarzem, kimś z tak zwanej literatury, lecz dobrym, pobłażliwym mądrym Synem Człowieczym, pogodnym nauczycielem szczęścia — prostego i najoczywistszego szczęścia miłości. Trzeba kochać i wierzyć, aby go zrozumieć, a zrozumieć go — to nic innego, jak znów kochać i znów wierzyć, wierzyć, że nie bezmyślnym biegiem dni jest życie, lecz objawieniem i cudem na każdym kroku.

Rzeczono jest w Piśmie: błogosławieni, którzy kochają, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie.

Lecz i królestwo ziemskie należyć może do tych błogosławionych, którzy tak kochać potrafią, jak ów święty poeta.

JULIAN TUWIM.